

SREBRNE PIÓRKO

2019/2020



OLKUSZ, 2020

SREBRNE PIÓRKO

2019/2020

Srebrne piórko

Teksty niektórych uczestniczek kursu pisarskiego
prowadzonego w ramach OUTW w roku akademickim
2019/2020.

Autorki: Jagoda Barczyk, Danuta Francka, Janina
Kowalska, Danuta Marszałek, Jolanta Żywicka.
Prowadząca: Joanna Szarras

WYDAWNICTWO TO DEDYKUJEMY JOLI ŻYWICKIEJ
Z NAJCIEPLEJSZYMI UCZUCIAMI I ŻYCZENIAMI POWTÓRNEGO
ZWYCIĘSTWA NAD CHOROBA.

Wydawca: Miejski Ośrodek Kultury w Olkuszu.
Olkusz, 2020

TYLKO PIES

Słońce powoli chowało się za linię horyzontu. Wiatr tańczył w koronach starych drzew i rozbujanych traw, szukał kryjówki w każdym zakamarku, z każdego jednak uciekał ze świstem trącając przy tym bladozielone listki.

Swawolne smużki światła skakały po gałęziach, ostatecznie osuwając się na miękkie mech.

Rozbrzmiewają delikatne dźwięki lasu, słyhać każdy szmer, przedwieczorny śpiew dzikich ptaków i brzęczenie owadów.

Nagle gną się i trzaskają gałązki, szeleszczą zeszłoroczne suche liście w ściółce... to idzie człowiek.

Jedną ręką rozchyłam gałęzie, drugą trzymam smycz, na końcu której drepcze z uchylonym pyszczkiem i wysuniętym językiem nieduży, ale długi pies.

Obydwoje jesteście zmęczeni, przeszliśmy trasę dłuższą niż zwykle, ale chłoniemy z zachwytem ten niepowtarzalny, wczesnowiosenny zapach lasu.

– Cudownie wygląda to zachodzące słońce! Chodźmy na tamtą polankę, będzie lepszy widok. Jest i gruby powalony pień, na którym mogę usiąść. Widzisz? Patrz na te kolory. Jedno niebo, a tyle barw. Fiolet, róż, czerwień, niebieski, żółty... Ach! To wspaniałe, nie sądzisz? – pytam mojego pupila.

– Przecież nie rozróżniam kolorów. Nie rozumiem, czym się tak zachwycasz – odparł zirytowany.

– Ach! Biedny jesteś. Współczuję ci, że jesteś tylko psem.

– Tylko psem! – obruszył się. – Śmieszna jest ta wasza ludzka pycha. Jakim prawem uważasz mnie za gorszego od siebie?

– Nie jesteśmy pyszni, tylko świadomi swojej wielkości – tłumaczę spokojnie poprawiając się na pniu.

– Wielkości – parsknął. – Co czyni was takimi wielkimi?

– Spójrz tylko na ten świat. To ludzie go stworzyli. Cuda

architektury, wielkie metropolie, monumentalne budowle, drogi, mosty, wielkie skomplikowane maszyny i pojazdy. Żaden inny gatunek by tego nie dokonał.

– Nie tylko ludzie potrafią budować i tworzą zorganizowane społeczności. Nawet bardziej zorganizowane. Na przykład mrówki czy pszczoły.

– Nie porównuj ludzi do owadów! – oburzyłam się. – Nimi rządzą tylko instynkty.

– Więc w czym jesteście lepsi od tych, przykładowo, mrówek?
– pies przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

– Śmieszne pytanie! Jako jedyny gatunek potrafimy myśleć abstrakcyjnie, a to potęga naszego mózgu – wyjaśniam, patrząc w ciemniejące niebo. – Potrafimy przeżyć w każdych warunkach! Jesteśmy wszędzie, jak bakterie. Od największego zimna biegunów do krytycznego gorąca pustyń! Nawet tam, gdzie nie ma życia, może być człowiek. Zdobywamy szczyty gór i dna oceanów. Badamy wnętrze skorupy ziemskiej i przestrzeń kosmosu. Do nas należy ta Ziemia i po części wszechświat. Jeden ruch i człowiek może zrównać wszystko z ziemią. Jeśli tylko zechcemy, możemy zniszczyć najprostsze i najbardziej skomplikowane formy życia! – wykrzykiwałam z podnieceniem.

Uspokajając oddech, poczułam chłód. Nagle zauważyłam, że księżyc zabiera coraz więcej światła niebu. Ptaki umilkły. Zapadała noc. Rozejrzałam się z niepokojem po mrocznej polanie. Spojrzałam nerwowo na psa, który wydawał się oazą spokoju. Węsząc delikatnie, wpatrywał się w rozkołysane sylwetki drzew. Wstałam i potarłam zmarznięte ramiona.

– Jest już całkiem ciemno, wracajmy! Chodźmy. Którędy przyszliśmy? Tu jest ścieżka... tu też! Jest za ciemno, żeby znaleźć drogę! Zgubiliśmy się! – błagalnym wzrokiem spojrzałam na psa. Otrzeptał się, klaszcząc uszami.

– Twój wzrok nie znajdzie drogi, ale mój węch z łatwością. Mówisz, że masz siłę umysłu, a teraz jesteś bezsilna. Gdzie jest twoja broń? Drżysz z przerażenia, gdy nie ma światła. A twoje

abstrakcyjne myślenie tylko cię pogrąży, nie pozwalając postępować zgodnie z logiką. Tacy jesteście mądrzy i wielcy! Uważacie, że jednym ruchem możecie zniszczyć całą Ziemię, a nie potraficie powstrzymać natury przed zniszczeniem was. Nic nie możecie, bo wobec żywiołów jesteście bezbronni. Nie masz nawet futra, żeby przeżyć zimną noc. Teraz użyję swego węchu, żeby bezpiecznie dojść do domu, a ty użyj swojej siły i mądrości, wielki człowieku!

Smycz wysunęła mi się z dłoni, a pies wbiegł w ciemny las zostawiając mnie na polanie rozdygotaną z zimna i strachu.

– Psie, piesku, wróć do mnie! Proszę! Przepraszam! Masz rację! Piesku kochany! – łkałam głośno.

Skuliłam się w wysokiej trawie rozglądając się nerwowo na boki. Było mi coraz zimniej. Wokół słychać było tajemnicze trzaski i szmery, z oddali dobiegało pohukiwanie sowy... Tworzyło to tak mroczny klimat, że zamarłam z przerażenia. Drzewa zmierzały w moim kierunku zacieśniając krąg, w krzakach widziałam świecące ślepia i czułam, że zaraz z ciemności wyłoni się coś niewyobrażalnie okropnego. Księżyc krył się za chmury, by znów pojawić się na czarnym niebie. Mamrotałam „Aniele boży, strózu mój, ty zawsze przy mnie stój...”, a łzy jak groch spływały mi po twarzy. Byłam pewna, że tu umrę, nie wiedziałam tylko, czy zamarnę, czy rozszarpia mnie dzikie zwierzęta.

Nagle usłyszałam, że coś się zbliża. Przedzierało się przez krzaki... Ukryłam twarz w dłoniach i wydałam jęk bezsilności. Zimny nos trącił mnie w kolano. Wrzasnęłam.

– Spokojnie, to ja. Byłam tu cały czas, przecież nie pozwoliłbym cię skrzywdzić, chciałem tylko, żebyś zrozumiała – wokół mnie dreptał rudy jamnik uśmiechając się szeroko i machając swoim cienkim ogonkiem.

– Rozumiem. Wyprowadź mnie stąd, proszę – wyszeptalam. Dygocąc ujęłam smycz swojego psa. Szliśmy milcząc, aż przed naszymi oczami ukazały się światła miasta.

BAL, KTÓRY SIĘ ROZPŁYNAŁ

W miarę upływu czasu coraz częściej wspominam cudowne lata młodości. Wtedy nawet szablonowa Wielkanoc mogła zapisać się na zawsze w pamięci.

Było to jakieś „dzieści” lat temu. Śniło mi się, że jestem na balu w pałacu bogatego (hmm, wiadomo) księcia. Byłam ubrana w długą srebrysto-zieloną suknię. Czułam się nieco oneśmielona nadmierną jasnością świateł i buchającym zewsząd przepychem. Książę był zjawiskowy. Roztaczał wokół siebie aureę niebiańskiego błękitu, a jego lekko przymrużone oczy rozsiewały aromat fiołków. Ach, jakże marzyłam o jednym choćby tańcu z nim! Ale wydawało mi się, że moje pragnienia są nazbyt śmiałe. I gdy tak siedziałam zamyślona i rozmarzona na miękkim połączanym fotelu, usłyszałam aksamitny głos:

– O, Pani, zechcesz zatańczyć ze mną?

Uniosłam oczy w górę i ujrzałam uśmiechającego się nostalgicznie Księcia. Dlaczego nostalgicznie? Może to ten kolor blue?

Nie umiałam ukryć zaskoczenia. Jakoś jednak udało mi się ogarnąć

– Ależ oczywiście – odrzekłam, uśmiechając się nieśmiało. To był walc. Książę świetnie tańczył. Było mi tak lekko. Miałam wrażenie, że unosimy się w powietrzu. Czułam się niewypowiedzianie szczęśliwa. A Książę? On wpatrywał się we mnie intensywnie.

A miał te oczy tak bardzo niebieskie. Oświeślały mnie jak ledowe reflektory. I stawałam się coraz bardziej błękitna. I chciałam, aby ten stan trwał wiecznie.

– Na imię Ci Akacja? – zapytał nagle.

– Nie, jestem Mgła! – zdziwiłam się własną odpowiedzią. Na alabastrowej twarzy księcia także odmalowało się zdziwienie.

– A ty, Księżę, co masz w herbie? – odważyłam się zapytać. Nim zdążyłam usłyszeć odpowiedź, wszystko zaczęło się rozplýwać. Najpierw sala balowa, potem Księżę, a na końcu ja. Jakby ktoś wylał szklankę wody na świeżo namalowaną akwarelę. Nie chciałam się całkiem rozpuścić, szybko otworzyłam szeroko oczy. I zobaczyłam stojącą obok łóżka moją młodszą siostrę. Chlapała mi w twarz zimną wodą, krzycząc – Śmigus-dyngus, śmigus-dyngus!

Byłam strasznie zła, że przerwała mi ten urokliwy sen. Mruknęłam coś w rodzaju – Ach, ty smarkulo – i schowałam głowę pod kołdrę. Nie było tam już sali balowej.

I w ten oto sposób nie zostałam księżniczką.

GDZIEŚ W CHMURACH

Oxygenia ułożyła swoje opary na mięciutkim cumulusie. Musiała się przewietrzyć. Ta dzisiejsza wyprawa mocno ją wyczerpała. Odwiedziła właśnie swoje stare ziemskie kąty. Przedarcie się przez wyjątkowo tłustą i brudną stratosferę ziemską było nie lada wyzwaniem. No tak, wszak dziś na Ziemi Dzień Zaduszny. Ale warto było.

Hydrogenius wyparował w poszukiwaniu idealnego miejsca dla ich nowej, wspólnej egzystencji.

– Ach... – westchnęła. – Hydrogenius...

Odkąd go poznała, jej nudnawe życie nabrało ekscytującego wymiaru. Rzec by można, prawie ziemskiego. Na samą myśl o nim poczuła, że robi się wilgotna. Nie, nie...jeszcze nie ten czas, jeszcze nie to miejsce. W oczekiwaniu na Hydrogeniusa postanowiła przywołać obrazy z dzisiejszej wycieczki.

Niewielki dom. Wewnątrz kobieta i mężczyzna. Właśnie wrócili z cmentarza i krzątają się w kuchni.

– Słyszałeś, chyba coś spadło w pokoju – mówi kobieta.

– Wydawało ci się. Ale wiesz, moja mama zwykła mawiać, że w Dzień Zaduszny duchy odwiedzają miejsca swojego ziemskiego życia – mężczyzna uśmiecha się pod nosem. Kobieta idzie jednak do pokoju. Na podłodze leży segregator z rachunkami.

– Przecież leżał na półce – dreszcz niepokoju przenika jej ciało. W tej samej chwili rozlega się dźwięk telefonu – to sms.

„Przypominamy, że opłatę należy uregulować do dnia 3 listopada.”
– upomina się jakaś firma.

Oxygenia aż zaróżowiła się z emocji. Poczuła przyptyw energii. Uniosła się nieco do góry, wpatrując się w błękitną przestrzeń.

– Hydrogenius, gdzie jesteś? – Zanim go dostrzegła, poczuła jego dotyk. Wydawał się bardzo zadowolony. Udało się! Wkrótce wyruszą na swój przylądek nadziei. Nadziei na nowe życie.

SMAK CHLEBA

Moja babcia sama piekła chleb. W rozgrzanym piecu opalonym drewnem układała dwa lub trzy bochenki i zamykała metalowe drzwiczki. Po jakimś czasie chleb był upieczony – chrupiący, wspaniale pachnący i bardzo smaczny. Gdy nieco ostygł, babcia kroїła grube kromy i smarowała je zrobionym przez siebie masłem. Na to kładła biały ser wymieszany ze śmietaną i cukrem. Cudowne śniadanie! Smak chrupiącego chleba, ciepłego mleka i pysznego białego sera pamiętam do dziś, choć już minęło ponad 50 lat!

Z sentymentem wspominam też wykopki. W okresie jesiennym z koleżankami i kolegami wyjeżdżaliśmy wcześniej rano na furach ciągniętych przez konie. Jechaliśmy nawet kilkanaście kilometrów do miejsca, w którym wykopywano ziemniaki. Zbieraliśmy je aż do zmierzchu. Byliśmy brudni jak nieboskie stworzenia, ale szczęśliwi i rozbawieni.

Gospodyni częstowała nas pyszną kawą z mlekiem, swoją kielbasą, białym serem ze śmietaną i pysznym, pieczonym w domu chlebem.

Gdyby ten czas mógł wrócić, chętnie bym w nim pozostała.

ŁYŻWY

W dzieciństwie marzyłam o tym, aby mieć łyżwy. Niestety, to było nieosiągalne, ponieważ były dla nas za drogie. Mama nie pracowała, utrzymywał nas tato i na takie rzeczy nie było pieniędzy.

Postanowiłam zatem, że łyżwy zrobię sobie sama. Z dwóch wąskich, porąbanych drewniek przy pomocy sznurka zrobiłam konstrukcję przypominającą łyżwę. Taką samą na drugą nogę. Przywiązałam to taśmą parcianą do butów – i proszę! Radości było co niemiara. Ale zaraz przyszło rozczarowanie, bo łyżwy, zamiast jeździć, stały w miejscu. Sznurek hamował.

Przysłałam do domu zapłakana, zmęczona staraniami, które teraz wydały mi się głupie.

Ale następnego dnia śmiałam się głośno ze szczęścia! Mąż mojej siostry wyjął z kieszeni pięćdziesiąt złotych i kazał iść do Sławkowa, żebym sobie te łyżwy kupiła. Tak zrobiłam. łyżwy kupione, ale moją radość zakłócił brak kluczyka, który był niezbędny, aby przykręcić je do butów. Ten nieszczęsny kluczyk wypadł mi z pudełka i zgubiłam go po drodze.

Znowu uratował mnie szwagier. Co prawda musiałam cierpliwie poczekać do następnego dnia, aż przyniósł z pracy kluczyk, który pasował do łyżew i w końcu zaczęłam jeździć! Moje marzenie się spełniło...

TEPA DZIDA

Julka wróciła do domu ostatkiem sił. Zrzuciła szybko płaszcz, zdjęła buty rzucając je niechłujnie obok szafki. Ledwo rozpakowała zakupy – dzwonek komórki. Popatrzyła na ekranik – numer nieznanym. Z reguły nie odbierała takich telefonów, ale była tak zmęczona, że bezmyślnie nacisnęła odbiór

– Halo, Julka? – usłyszała chrypliwy nieco głos. – Tu Kryśka!

– Krycha? Ta Krycha? – z niedowierzaniem zapytała Julka.

– Widzę, że pamiętasz mnie.

– Oczywiście, jeszcze teraz czuję twoje ręce na moich warkoczach – ze śmiechem w głosie odpowiedziała Julka. Sekunda ciszy, potem jakieś zgrzyty, skrzyipy zdenerwowanego głosu.

– No nie złość się tak, bo ci znowu wyskoczy – łagodząco powiedziała do słuchawki Julka.

– Niby co mi wyskoczy – piskliwy głos po drugiej stronie zaczął drażnić jej wrażliwe ucho.

– Wielka gula z boku szyi ci wyskoczy.

Coś na chwilę przerwało rozmowę, ale zaraz usłyszała złowieszcze sapanie Krychy.

– No dobrze już, dobrze. Powiedz lepiej co się stało, że dzwonisz? – próbowała zmienić ton rozmowy.

– Spotkanie klasowe ma być – usłyszała trochę jeszcze sepleniący złością głos. Przyjedziesz?

– Przyjadę chętnie – powiedziała Julka.

– Nasze sławne trzydziestki też będą – Krysia wreszcie poradziła sobie z trudnym słowem.

– Wszystkie trzy będą? – zapytała Julka.

– Tak, tak. Tyle tylko, że teraz to tak, jakby ich było sześć – dodała z lekką satysfakcją w głosie Krycha.

– No wiesz, te ciastka, które zjadały u "Pitaka" musiały się gdzieś pomieścić – powiedziała Julka. I dodała: – Żeby tylko Elka

nie zapomniała o tic- tacach.

– A to czemu? – nie rozumiała Krycha.

– Jak to, nie wiesz co się o niej mówiło w szkole? Że jej oddech może poruszyć wiatraki na płótnach holenderskich. Nie wiedziałaś? No to teraz już wiesz.

Z dźwięków po drugiej stronie słuchawki wyłowiła tylko jedno słowo: Baškę. Zdenerwowana nieco zapytała:

– Baškę? Tę pudernicę złośliwą? To ta, co mówili o niej, że jest rozgarnięta, jak żwir na budowie?

– Tak, tak. To ona – głos Krychy brzmiał, jakby był teraz lekko naoliwiony – Wiesz, że ona wyszła za mąż? Trzeci raz, wyobraź sobie – dodała.

– No, to teraz już nikt nie powie, że panną była, panną zmarła, dla nikogo nie zadarła – skostatowała Julka.

Rozmowa robiła się coraz bardziej interesująca, nawet niedawne zmęczenie gdzieś się ulotniło. Zapytała więc: – A ty co... Wyłowiła z potoku słów tylko "przy swoim".

– Mężu czy zdaniu? – zaczęła dociekać Julka. Z usłyszanej odpowiedzi wysnuła wniosek, że przy jednym i drugim. Pomyślała: Oto cała Krycha. Na pytanie Krychy, czy widziała ostatnio Jankę, Julka odpowiedziała, że tak, i że wygląda super, i że nie lubi jej za to. To ostatnie dodała żartem. Ale Krycha wystrzeliła skrzeczając:

– Co ty? Widziałaś, jaka ona jest chuda?

– Nie chuda, tylko szczupła jest – wyraziła swoje zdanie Julka.

– A ty nie wiesz, co ona robi, że jest taka szczupła? – dociekała Krycha.

– Mnie mówiła, że uprawia surwiwal.

– A co to takiego? Nie wiem – przyznała się Krycha. Julka pomyślała: Dlaczego mnie to nie dziwi? A głośno powiedziała:

– Krycha, surwiwal to jest taka szkoła przetrwania.

– A cóż ona tam robi? – drążyła Krycha.

– Mnie powiedziała, że stara się przetrwać z emerytury od

pierwszego do pierwszego. Więc już nie narzekaj na ZUS.

W słuchawce coś zazgrzytało.

– Co, co ty mówisz? Hanka też się rozstaje z mężem? Dlaczego? Co? Powtórz jeszcze raz.

Do uszu Julki dotarło, że Hanki małżeństwo, według samej Hanki, układa się jak ornament z guana; to znaczy wysycha, rozpada się a do tego śmierdzi.

Chwila ciszy, a po chwili Krycha zapytała:

– Julka, a ty nadal pijesz?

– Nie, już nie piję – powiedziała twardo Julka.

– A od kiedy? Od dawna? – znów zapytała ciekawska.

– Od ostatniej prywatki u Dzidki. Co, nie pamiętasz? Wlałam wtedy w siebie trochę za dużo i na drugi dzień wyglądałam, jak wyrzygany naleśnik, więc dzięki. No dobra, ale co ty, Krycha porabiasz?

Zachrypnięty głos oznajmił sepleniąco: – Pracuję.

Julka zapytała zdumiona: – Jak to pracujesz? Jeszcze?

Seplenienie trochę się zmniejszyło i Julka usłyszała: – Nie pracuję, tylko prasuję.

– A – z ulgą powiedziała Julka. To znaczy że z twoimi rękami wszystko w porządku?

– A co niby ma być nie tak? – zapytała Krycha.

– No co ty, nie pamiętasz, jak namiętnie obgryzałaś paznokcie? A Wenus z Milo też tak zaczynała, to sobie zobacz, czym się to dla niej skończyło.

– A ty co robisz? – przypuściła atak Krycha.

Julka nie namyślając się długo odparowała: – Na pewno nie prasuję. I nie chodzę w wymiętych ubraniach, bo już słyszę twoje myśli, tylko mam gosposię.

Krycha z ciekawością w głosie: – A czy ładna?

– Krycha – warknęła Julka. – Czy ty myślisz... oj, sorry, wiem że ty nie myślisz... Więc powiem tak: Gosposia jest stara i brzydka, ale za to dom cały łśni, a ja tylko leżę i pachnę.

– I co jeszcze robisz? – drążyła Krycha.

– Co, co. No jakby ci tu powiedzieć... Używam...

Nie skończyła, bo usłyszała jakieś dwuznaczne uwagi. Powiedziała więc: – Świata, głupolu, świata używam. ...Jak, jak. Różnie. Ale słuchaj Krycha, muszę już kończyć, bo zaraz idę na wykład o stosunkach...

Znowu coś sprośnego usłyszała z drugiej strony, więc dodała: – Wariatka z ciebie! O stosunkach międzysąsiedzkich. Bo nie wiem, czy wiesz, ale zapisałam się na UTW.

– A cóż to takiego? – zapytała dyszkantem Krycha.

Julka nie wytrzymała.

– Ale z ciebie tępą dzida, Krycha. UTW to Uniwersytet Trzeciego Wieku. Niektórzy mówią, że ostatniego, ale to są takie zgredy same.

Na pytanie, co oni robią na tym UTW, Julka odpowiedziała: – Różne rzeczy. Tańczymy, śpiewamy, jest joga, komputer, tai- chi, basen wycieczki, itp. Jest super.

– A jak języki? – zapytała Krycha.

– Są, oczywiście. Angielski i niemiecki.

– Ty co wybrałaś? – zapytała rzeczowo.

– Angielski.

– A ja to lubię po francusku – z rozmarzeniem powiedziała Krycha.

– Wiem, wiem. Wszyscy to wiedzieli – powiedziała Julka, uśmiechając się w duchu.

– A tobie to po co ten angielski? – zapytała Krycha zaczepnie.

– Po co, po co – Julka nie mogła ukryć opryskliwości. – A może gdzieś wyjadę. Do Londynu, albo do innego jakiegoś Honolulu. Czekam tylko na sponsora – rozmarzyła się.

– A masz już jakiegoś na oku?

– A gdzie tam – powiedziała Julka zrezygnowanym głosem.

Chciałabym, żeby był w miarę młody, inteligentny, żeby miał pupę zapakowaną w markowe dzinsy, w kieszeni wypchany portfel z kartami kredytowymi... Tak. Ale na razie, jak to się mówi: ciemność widzę, ciemność.

– A umiesz już coś po angielsku? – zaciekała się Krycha.

– Jasne, np. Don't worry, I'm sorry, love story – robi wrażenie, co?

– A wiesz – powiedziała z przechwałą w głosie Krycha – ja też umiem jedno zdanie po angielsku. Wnuczek tak często mówi.

– No to powiedz – przynagłała ją Julka.

Po chwili usłyszała zadowolony, skrzypiący głos:

– Kiss my ass. Zatkano, co?

Julka, dusząc w sobie śmiech, powiedziała do słuchawki: – Nie wiem, czy wiesz, Krycha, co gadasz, ale powiem ci jedno: – I vice versa.

Tak zakończyła się ta rozmowa. Julka czekała teraz tylko na rachunek. Ale w sumie – przecież to Krycha do niej zadzwoniła! No i znów nie pomyślała.

KICEK

Popatrzyła na zegarek. Z ulgą odetchnęła: No, nareszcie koniec pracy. Przede mną trzy dni odpoczynku. Za oknem słońce chyliło się coraz niżej, cienie drzew, ludzi, budynków, stawały się coraz dłuższe. Spakowała rzeczy do torebki, ogarnęła wzrokiem pomieszczenie biura. Wszystko było w porządku, mogła wyjść. Zjechała windą na parter i stukając obcasami po lśniącej posadzce skierowała się w stronę drzwi. Drzwi automatycznie się otworzyły i znalazła się na ulicy.

Do pracy Maria zazwyczaj chodziła pieszo – mieszkała niedaleko. Idąc chodnikiem mijala ludzi niosących torby z zakupami, grupki roześmianych młodych ludzi. Patrzyła na nich i pomyślała: Kiedy ostatni raz tak szczerze się śmiałam? Szła krok za krokiem, rozpięła lekki płaszcz – owionął ją rześki wiatr. Promienie słońca prześwitywały przez gałęzie drzew i zatrzymywały się na jej, trochę zmęczonej całym dniem, twarzy. Powoli zbliżała się do swojego domu, zatopionego w zieleni drzew i krzewów. Nie spostrzegła, kiedy niebo zakryły obłoki i nagle zrobiło się szaro. Zabłyśły uliczne latarnie. Jeszcze paręnaście metrów i zobaczyła małe światełko. Była na miejscu. Otworzyła furtkę, która samoczynnie zamknęła się z leciutkim trzaskiem. Do domu prowadziła droga wyłożona szlifowanymi

kamieniami poprzerastanymi króciutką trawą. Lubiała tę kamienną ścieżkę, zwłaszcza po deszczu, kiedy kamienie lśniły jak tafla wody. W upalne dni kochała chodzić po niej boso. Teraz idąc tą kamienną ścieżką czuła spokój, ciszę i radość, że jest już tu, w swoim wymarzonym domku, w którym czeka jej ukochany mężczyzna. Powoli weszła po kamiennych schodkach na taras. Oświetlały go dyskretne, nastrojowe lampy. Okna domu natomiast były ciemne. Wyjęła z torebki klucze, otworzyła drzwi i weszła do małego hallu. Zsunęła z nóg piękne, aczkolwiek niezbyt wygodne szpilki, idąc zdejmowała z siebie szal, płaszcz, położyła na fotel torebkę. Stała na moment, bo coś ją zaniepokoiło. Zaniepokoiła ją cisza wypełniająca wszystkie kąty. Zazwyczaj słychać było sączącą się z odtwarzacza płyt ich ulubioną piosenkę Leonarda Cohena "Hallelujah".

– Piotr! – zawołała Maria. – Piotr, gdzie jesteś? –

Odpowiedziała jej cisza. Weszła do pokoju. Zapaliła światło narożnej lampy z weneckiego szkła. Pokój napełnił się kolorowym, subtelnym światłem. Lampa była prezentem od Piotra z wycieczki do Wenecji. Ogarnęła wzrokiem pokój. Dębowa podłoga ładnie kontrastowała z biało-beżowymi meblami. W oknach lekkie, koronkowe firanki, zamiast zasłon kremowe rolety. Na środku pokoju stał podłużny stół z zaokrąglonymi rogami, cztery wygodne krzesła z poduszkami na siedziskach. Na

stole zauważyła dwa nakrycia, dwa kieliszki i świece, czekające na zapalenie. W kącie pokoju, przy niedużym stoliku, stał jej ulubiony mebel – duży, miękki, pomarańczowy fotel. Ta jasna plama ożywiała spokojny salon.

– Tak, odpocznę chwilę – pomyślała, idąc w kierunku fotela po miękkim puszystym dywanie w kolorze ecru. Stopy Marii zatapiały się w jego wełnianych kłębkach. Usiadła na fotelu podkurczając nogi, oparła głowę o wysokie oparcie, przymknęła oczy... Chwilę tak trwała w półśnie, po czym coś wstrząsnęło jej ciałem i otworzyła oczy. Przeciągnęła się leniwie. – Wezmę prysznic, szybciej dojdę do siebie – pomyślała i poszła w stronę łazienki. Przez zamknięte drzwi kabiny słychać było szum wody. Wyszła okryta jasnoróżowym szlafrokiem frotte. Jej mokre włosy okalały ładną twarz. Bez makijażu wyglądała świeżo i dziewczęco. Na nogi wsunęła ciepłe klapki i znów usiadła na fotelu. Za oknem było już ciemno. Jej niepokój wzrastał. Znów zawołała Piotra i znów odpowiedziała jej cisza. – Nie, nie, coś tutaj mi się nie podoba, coś jest nie tak – powiedziała do siebie. Zmieniła klapki na baleriny, narzuciła na siebie płaszcz i wyszła przed dom. Z prawej strony domu stał garaż, przed nim samochód Piotra. W garażu było ciemno. Tuż za garażem był nieduży budynek, w którym mieściła się pracownia Piotra. W wolnych od pracy chwilach Piotr budował ich wymarzony nieduży jacht. Właściwie

była to większa łódź, ale "jacht" brzmiało tak ładnie. Maria zerknęła w stronę pracowni. Drzwi były leciutko uchylone i sączyło się z nich słabe światło. Powoli, spoglądając na wszystkie strony, podeszła do drzwi pracowni. Popchnęła drzwi i ostrożnie weszła do środka. Rozejrzała się dookoła...

– Co to jest? Co się stało? – zawołała przerażona. Tuż przy dziobie łodzi zobaczyła siedzącego na niskim taborecie Piotra. Ręce miał wsparte na kolanach i podtrzymywał nimi głowę. Na nodze miał tylko jeden but, drugi leżał obok. Wszędzie była krew, we krwi były obie nogawki spodni... Przerażona popatrzyła na Piotra. Jego ręce całe były poplamione krwią, krwawe plamy na jego zawsze nieskazitelnie białej koszuli. Podeszła bliżej. Objęła jego głowę starając się oderwać od niej jego dłonie. – Piotr – powiedziała łamiącym się głosem. – Co się stało? – Otworzył powoli oczy, popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Zobaczyła łzy spływające z jego oczu po policzkach. – Piotr, co się stało, mów! – Z trudnością otwierając usta wyszeptał: – Zabiłem go, zabiłem.

– Kogo zabiłeś, kto tu był? Co się tu w ogóle stało? – pytała drżącym z przerażenia głosem. Ale Piotr powtarzał tylko: – Zabiłem go, zabiłem, musiałem, przepraszam... Głos Marii mieszał się przechodząc z przerażenia w zniecierpliwienie. Rozejrzała się wokół. Obok, w kałuży krwi, leżała zakrwawiona siekierka,

odwrócona ostrzem do góry. Odchyliła jego głowę, popatrzyła mu w oczy. – Mów, proszę, kogo zabiłeś? – Piotr z wysiłkiem wstał z taboretu i patrząc w oczy Marii powiedział urywanym głosem: – Kicka, Kicka zabiłem... Maria otwarła ze zdumienia usta jakby chciała coś krzyknąć, ale coś jej nie pozwalało.

– Jak to, Kicka? Mojego ukochanego Kicka? Dlaczego? – wydukała wreszcie.

– Byłem o niego zazdrosny – powiedział cicho Piotr – Jego tylko przytulałaś, głaskałaś, mówiłaś do niego. Byłem bardzo zazdrosny – Piotr popatrzył na Marię i wtedy w oczach zabłysły mu szalone iskierki. Wstał, wyrzucił przed siebie ręce i wesoło krzyknął: – Prima aprilis! Twój Kicek tu jest. Popatrz! – Podniósł średniej wielkości pudełko – ukazała się niewielka biała, puszysta kuleczka z czerwoną kokardką na szyi. Ale Maria tego już nie widziała. Było za późno. Bezwładnie osunęła się na podłogę, padając głową na sterczące ostrze siekiery.

– Mario, Mario! – zawołał rozpaczliwie Piotr podchodząc do leżącej kobiety. Patrzył osłupiały na jej piękną bladą twarz. Oczy nadal miała otwarte. – Mario! – zawołał błagalnie. – Nie wygłupiaj się! Ale Maria nie odpowiadała. Nachylił się nad nią, przyłożył rękę do tętnicy szyjnej – nic nie wyczuł. Zabierając rękę z szyi Marii poczuł coś lepkiego. Zobaczył na niej ciepłą krew swojej ukochanej żony.

PRZYPADKOWE SPOTKANIE

Kasia wyskoczyła szybko z łóżka. Spojrzała na zegarek.

– O Boże, ósma dwadzieścia, o dziewiątej mam spotkanie zarządu, a samochód u mechanika! – biegiem wpadła do łazienki, żeby wziąć szybki prysznic.

– Nie najpierw powinnam zamówić taksówkę... Zamówiła taxi i wróciła do łazienki. Po kąpeli błyskawicznie zrobiła szybki makijaż, włosy związała w bezpretensjonalny kucyk, założyła garsonkę. Zdążyła wypić łyk kawy, kiedy zadzwonił telefon, że taksówka czeka przed domem.

W windzie jeszcze raz zerknęła do lusterka i uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Może być, jak na swoje lata to całkiem niezłe się trzymam.

– Dzień dobry – powiedziała otwierając tylne drzwi taksówki. – Na Polną 16 proszę.

– Dzień dobry – odpowiedział kierowca zerkając we wsteczne lusterko. – Niemożliwe! – zawołał nagle, odwracając się do tyłu. – Kacha? Kacha Szulc?

Kasia ze zdumieniem przyjrzała się kierowcy.

– O rany! Maciek! Maciek Czubak!

Oboje zaczęli się śmiać trochę zakłopotani, ale uradowani spotkaniem.

– Maciek, tyle lat! Co ty robisz w taksówce, podobno byłeś w Stanach! Rozmawiałam z twoją mamą, była taka dumna z ciebie, mówiła, że ci się powiodło, że masz dobrą pracę i rodzinę...

– To już przeszłość. O tym innym razem, a teraz opowiadaj, co u ciebie.

– U mnie nic ciekawego. Pracuję w firmie rodziców. Mama zmarła dwa lata temu. Tata załamał się... właściwie tylko dzięki tej firmie jakoś się trzyma... – głos Kasi zadrżał.

Maciek uruchomił samochód, włączył się do ruchu i pospiesznie

zmienił temat.

- Masz jakiś kontakt z ludźmi z roku?
- Niewielu nas zostało. Rozjechało się towarzystwo po świecie.

Jedynie z Adą mam bliższy kontakt.

- Co u niej?
- Wyszła za męża. Zresztą za Jacka Wrońskiego. Kojarzysz go?
- No jak nie? Największy świrus w klasie... A ty? Masz męża, dzieci?

Kasia zarumieniła się.

- Nie, jakoś nie było na to czasu...
- No to wszystko jeszcze przed tobą. A pamiętasz naszą studniówkę?
- Tak... I pamiętam, co było po studniówce – odpowiedziała. Maciek gwałtownie zahamował.

– Omal nie przegapiłem, tak się zagadaliśmy. Proszę, jesteśmy na miejscu.

– Dziękuję ci. – Kasia spojrzała na zegarek. Do dziewiątej brakowało kilku minut. – No, zdążyłam. Ile płacę?

– Nie wygłupiaj się. Liczę na spotkanie z tobą. Musimy porozmawiać. Jestem ci winien wyjaśnienie kilku spraw.

– Czy warto do tego wracać?

– Warto, Kasiu. Trzeba. To kiedy i o której mam po ciebie przyjechać? Adres znam.

– Nie wiem, Maciek, nie mam teraz czasu... No dobrze, przyjeżdż tutaj dzisiaj o szesnastej, ja na razie nie mam auta.

– Będę na pewno. Do zobaczenia! – odjechał z uśmiechnięty.

– Ależ jestem głupia – pomyślała Kasia. – Po co się zgodziłam? Czy warto rozdrapywać stare rany?

Zarząd zebrał się w sali konferencyjnej. Ojciec Kasi wyszedł ze swojego gabinetu.

– No jesteś wreszcie, dziecko, denerwowałem się. Wiesz, że dzisiaj musimy podjąć bardzo ważne decyzje.

– Spokojnie, tatusiu, omal nie zasnęłam, ale jestem – uśmiechnęła się ciepło. Po śmierci mamy ojciec zrobił się bardzo nerwowy i nadopiekuńczy w stosunku do niej. Zawsze myślała, że mama

taka była, ale tata zdecydowanie ją przebił.

Zebranie przebiegało burzliwie. Dyskusja na temat poważnej inwestycji była gorąca, a zdania podzielone.

Kasia nie mogła się skupić. Myślami była przy porannym spotkaniu. Maciek niewiele się zmienił – pomyślała. Czas dla facetów zawsze jest łaskawszy... A ja? No, nie czarujmy się. Trochę lat minęło. Los też mnie nie oszczędzał. Zawiedziona miłość, śmierć mamy i ciągłe kłótnie z siostrą.

– Co się z tobą dzieje? – z zamyślenia wyrwał ją głos taty. – Głosujemy! Kto jest za przyjęciem wniosku?

Na korytarzu zagadnęła ojca.

– Tatuś, skoro jest już po zebraniu, mogłabym wyskoczyć na godzinkę czy dwie?

– Coś się stało?

– Nie, nic, chciałam skoczyć do fryzjera, jest wiosna, może coś trzeba zmienić – uśmiechnęła się.

– Dla mnie jest ok, ale skoro czujesz taką potrzebę... Wy, kobiety, najlepiej się na tym znacie. No, uciekaj!

Kasia wyszła z biura. Wiosenny wiatr, jeszcze pachnący topniejącym śniegiem, muskał jej twarz, słońce dodawało energii, od dawna nie czuła się tak lekko i radośnie. Uśmiechnęła się uświadomiwszy sobie, że zachowuje się jak nastolatka przed randką.

Ruszyła w kierunku salonu fryzjerskiego. Nagle po drugiej stronie ulicy zauważyła swoją siostrę Izę zmierzającą w kierunku biura. Nie miała wątpliwości, po co siostra idzie do taty. Młodsza od Kasi o dwa lata miała męża i dwoje dzieci, co według niej dawało jej specjalne przywileje. To ona dała ojcu wnuki, ona była ładniejsza, mądrzejsza i na każdym kroku to podkreślała. Oznajmiwszy, że chce się poświęcić macierzyństwu, nie pracowała, za to obficie czerpała z portfela taty.

Dzwonek obwieścił wejście Kasi do zakładu fryzjerskiego. Pani Aldona spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Czy my byliśmy na dzisiaj umówione?

– Nie byliśmy, wiem, ale pani Aldonko, mam dzisiaj ważne

spotkanie i miałam nadzieję, że przed południem trafię na jakieś okienko... Przyjmie mnie pani?

– Ale tylko czesanie, mam pół godziny.

Z odświeżoną fryzurą Kasia pomyślała, żeby kupić nową sukienkę. – Tak, jakby Maciek w jakiejś starej mnie widział – uśmiechnęła się od nosem. Nie walczyła długo z pokusą, pchnęła drzwi do butiku. Od razu spodobała jej się panterka, jej ulubiony wzór. W przymierzalni bez odrobiny skromności uznała, że wygląda bosko i postanowiła w niej zostać. Poprosiła ekspedientkę, żeby spakowała jej garsonkę. Pochodziła jeszcze trochę po sklepach w radosnym oszołomieniu. Wiosna swoją drogą, ale nie ma się co oszukiwać, robiła to wszystko dla Maćka. Spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej. Przyspieszyła kroku. Zostawi w biurze zakupy, poprawi makijaż i na szesnastą będzie gotowa. Pewnie pojadą gdzieś na obiad...

Gdy weszła do biurowca, zauważyła zamieszanie. W holu pracownicy stali w grupkach rozmawiając z ożywieniem. Na jej widok zamilkli. Poczula niepokój.

– Co się stało, pani Aniu? – podeszła energicznie do sekretarki.

– Pani tata... pani tata chyba miał zawał. Pogotowie go zabrało...

– Jak to? Dokąd go zabrali?

– Nie wiem, proszę zapytać siostrę, jest w gabinecie pani taty...

Kasia wpadła do gabinetu i rzuciła przy drzwiach torby z zakupami.

Za biurkiem siedziała Iza z brodą opartą na splecionych rękach.

– To nie moja wina! – powiedziała szybko, widząc minę Kasi. – Na każdego kiedyś przychodzi czas...

– Dokąd go zabrali?

– Na Batorego.

Gdy Kasia wybiegła z biurowca, przed budynkiem już czekał Maciek.

– Błagam, do szpitala na Batorego, szybko! – krzyknęła wsiadając pospiesznie.

Maciek bez słowa odpalił samochód i szybko ruszył. Przez całą drogę milczeli. Z piskiem opon zatrzymali się na szpitalnym parkingu. Kasia wyskoczyła z samochodu i pobiegła na SOR. Zaczęła pielęgniarkę, która zaprowadziła ją na salę.

– Proszę długo nie siedzieć przy tacie, nie męczyć go. Za chwilę przyjdzie do pani lekarz.

Kasia pokiwała głową. Ojciec leżał podłączony do kroplówki, szary na twarzy, z zamkniętymi oczami. Dotknęła delikatnie jego ręki, ale nie zareagował. Posiedziała chwilę, potem cicho wyszła na korytarz. Maciek na nią czekał. Przytulił ją.

– Chodź, poszukamy lekarza, porozmawiasz z nim.

Odnaleźli gabinet ordynatora, Maciek zapukał. Usłyszawszy – Proszę – otworzył drzwi i przepuścił Kasię przodem.

– Dzień dobry, jestem córką Jana Szulca, chciałam zapytać o stan taty...

– Jan Szulc, tak. Pani jest córką, a pan?

– Ja? Ja... jestem zięciem – zająknął się Maciek.

Lekarz przyjął odpowiedź skinięciem głowy, a Kasia otworzyła usta ze zdumienia. Zaraz jednak musiała skupić się na słowach ordynatora.

– Stan pani ojca jest stabilny, to na szczęście nie jest rozległy zawał, aczkolwiek w tym wieku wszystko jest możliwe. Jesteśmy jednak dobrej myśli. Niedługo pacjent zostanie przewieziony na kardiologię, tam zrobią badania specjalistyczne. Proszę się nie martwić, a potem dopilnować, żeby tata trochę zwolnił tempo.

Kasia kiwała głową, a panikę powoli zastępowała ulga. To jeszcze nie wyrok, tylko ostrzeżenie, które należy potraktować poważnie. Podziękowała lekarzowi i wyszli.

Nagły spadek adrenaliny spowodował, że zaczęła drżeć i zmiękły jej kolana.

Maciek objął ją ramieniem, pocałował w policzek i podprowadził do ławki.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, kiedy już doszła do siebie i wyzwoiliła się z jego objęć. Nagle poczuła złość, że tak łatwo wpasowała się w jego ramiona, jakby minionych piętnastu

lat wcale nie było, jakby nigdy nie płakała z powodu złamanego serca, upokorzenia i wstydu.

– Po studniówce też mówiłeś, że wszystko będzie dobrze, a potem ze wszystkim zostałam sama – syknęła wściekle.

– Ale z jakim wszystkim?

– A co ty myślisz, że w takiej małej miejscowości codziennie przyłapują parę nastolatków kochających się w parku na ławce? Rozeszło się to wszystko lotem ptaka. Wstydziłam się wyjść z domu! A ty odsunąłeś się ode mnie i dawałeś, że mnie nie znasz.

– To nie tak...

– A jak? – zapytała gniewnie.

– Teraz to już chyba mogę ci powiedzieć. Twoja mama z siostrą przyszły do nas do domu, powiedziały, że po tym wszystkim nie chcesz mnie już nigdy widzieć ani słyszeć. Że jeśli będę cię nachodził, to wezwą policję. Wymusiły na mnie obietnicę, że nie będę cię nękał, bo inaczej ucierpi cała moja rodzina. Wiesz, jaka wtedy była sytuacja. Matka i ojciec pracowali w firmie twoich rodziców. Byli od nich zależni. Bardzo cię kochałem, ale nie mogłem nawet zbliżyć się do ciebie, bo twoja siostra warowała jak pies. Wielokrotnie próbowałem, ale telefony odbierała twoja mama. Pisałem, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi. Ty nie wychodziłaś, nawet nie podchodziłaś do okna. Wreszcie twoja siostra powiedziała, że przed studiami rodzice wysłali cię na wakacje do ciotki, do Francji. Tymczasem moi rodzice jakimś cudem załatwili mi wyjazd do wujka, do Stanów. Pojechałem. Stamtąd pisałem do ciebie, ale po pięciu latach zrezygnowałem. Rozumiem, że nie dostałaś moich listów?

– Nie, ani jednego. – Kasia w oszołomieniu słuchała i próbowała zrozumieć, jak matka i siostra mogły jej to zrobić.

Zapisały wahadłowe drzwi i do korytarza szpitalnego weszła Iza. Oślupiała na widok Maćka.

– A co ty tu robisz?!

– Przyjechałem po moją Kaśkę. Teraz już chyba mogę, prawda?
– zapytał z ironią.

Iza zacisnęła usta i spojrzała na Kasię.

- Tata żyje?
- Żyje i będzie żył. Musisz jeszcze poczekać na spadek – nie powstrzymała się od złośliwości.
- A ty chyba nie jesteś z Maćkiem?
- Dlaczego nie. Właśnie jestem – przytuliła się do Maćka.
- Wyjaśniłem Kasi, co się wydarzyło wtedy, przed piętnastu laty. Wybaczyła mi. Pobierzemy się, jak tylko tata dojdzie do siebie. Kasia westchnęła z zaskoczenia, ale zaraz się opanowała, bo Iza mierzyła ją wściekłym wzrokiem.
- Żałosna jesteś – odwróciła się na pięcie i pomaszerowała korytarzem.
- Kasia i Maciek w milczeniu stanęli obok samochodu.
- Kasiu?
- Tak?
- Wiem, że mnie poniosło. Przeraszam. Ale chciałem cię zapytać, czy rzeczywiście mi wybaczysz i zostaniesz moją żoną? Zawsze cię kochałem i nadal Kocham.
- Romantyczne oświadczyzny na szpitalnym parkingu? – zakpiła Kasia, ale na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.
- Wiem, wiem, zrobię to jeszcze raz, tak, jak należy. Ale bałem się, że znowu coś nas rozdzieli. No i dziś dotarło do mnie, jak kruche jest życie...
- Myślałam, że nigdy nie wyjdę za mąż, bo nigdzie nie znajdę nikogo podobnego do ciebie. Nie spodziewałam się, że dostanę oryginał!
- Czy to znaczy – tak? – zapytał, z niepokojem wpatrując się w jej twarz zmiękczoną światłem latarni.
- Tak!
- Pocałowali się po raz pierwszy od piętnastu lat.
- A teraz – powiedziała zdyszana Kasia uwolniwszy się z objęć Maćka – teraz jedźmy do domu. A po pięknej nocy znowu odwiedzimy tatę.
- Taksówka czeka, łaskawa pani – Maciek szarmancko otworzył drzwi.
- Dziękuję, dobry człowieku.

